

Jacek Zalewski

Filozofia z marginesu

Kompetencje do poniższych rozważań czerpię z miejsca, które pozwoliłem sobie zająć wobec filozofii, zwłaszcza w jej najpopularniejszej dzisiaj odmianie: uniwersyteckiej. Kiedy prawie dziesięć lat temu kończyłem studia filozoficzne, byłem, podobnie jak niemała część studentów, pod wrażeniem faktu, że studiuje elitarny i zarazem niedoceniany kierunek. Wiązało się to z pewnym poczuciem wyższości nie tylko w stosunku do studentów innych kierunków, ale zgoła wobec niemal całej ludzkości, niedoceniającej filozofa wyłącznie wskutek własnej ignorancji i nieświadomości. Takie stanowisko, w oczywisty sposób skażone resentymentem, było jednak (i prawdopodobnie wciąż jest) wśród studentów na tyle popularne, że co drugi nie widział dla siebie innej drogi jak doktorat, jako że sam tytuł zawodowy 'magister' wydawał mu się z jakiegoś powodu niepoważny.

Owa mieszanina ambicji, resentymentu i autentycznej pasji do filozofii to dzisiaj główne motywy inspirujące studentów do wiązania się z uczelnią, a potem skromnie, ale z uporem, powiększania swojego doświadczenia filozoficznego i dorobku.

Przyznaję (ale potrzebowałem wielu lat, żeby w pełni zrozumieć to, co wówczas tylko przeczuwałem), że i ja byłem pod wpływem owej niebezpiecznej i zabójczej dla filozofii mieszanki. Nawet dostrzegając miałość i jałowość akademickiego stylu filozofowania, nie potrafiłem zdobyć się na decydujący krok, i skończywszy studia magisterskie, skończyć także z filozofią akademicką. Myślałem sobie: zrobię doktorat i dopiero wówczas, osiągnąwszy pewien „poziom”, a więc mając ów budzący respekt certyfikat kompetencji, rozstanę się z uczelnią. Zatem pragnąłem to uczynić, owszem, ale na własnych warunkach, to znaczy na warunkach własnego sposobu myślenia. Nie potrafiłem dostrzec, że to, co brałem za przenikliwość było po prostu wyrafinowaną formą zaślepienia, a niechęć wobec filozofii akademickiej miała swoją mroczną stronę do której nie chciałem się przyznać: próżność.

Potrzebowałem czasu, żeby z mojej niechęci do filozofii akademickiej wydobyć to, co merytoryczne, oddzielić namysł od namiętności, wnioski od rozczarowania. Jednakowoż o daremności tej roboty przekonałem się natychmiast po jej wykonaniu. Bo choć wreszcie uczyniłem swoją niechęć do filozofii niewinną, to znaczy opartą na argumentach, a nie na uprzedzeniach, to ze smutkiem zrozumiałem, że tym samym osłabiłem ją. Zrozumiałem również (i doprawdy, w niczym nie złagodziło to mojego smutku), dlaczego żaden, nawet najbardziej druzgocący argument nie jest w stanie jej wzmocnić. Zrozumiałem też wreszcie, że opieranie swojego stosunku do filozofii wyłącznie na racjonalnych przesłankach tak czy owak musi się skończyć porażką.

Albowiem źle się dzieje, kiedy czysta obserwacja i płynące z niej wnioski kończą zaledwie jako teoria, i nie wyzwalają przy tym żadnych namiętności. Żeby działać, czy choćby z pełnym przekonaniem przychylić się do jakiegoś stanowiska, potrzeba niemałej dawki tupetu, arogancji, a nawet zaślepienia. Tych zaś zaczęło mi w pewnym momencie brakować, więc chociaż wciąż zgadzam się ze swoimi dawniejszymi przekonaniem, to niestety z przykrością muszę stwierdzić, że przestałem być ich gorliwym wyznawcą. Kto wie, czy w końcu nie powrócę na akademię, ulegając innemu zgoła złudzeniu, mianowicie poczuciu bycia ostatnim sprawiedliwym, który wprowadzie nie zmieni aktualnego *status quo*, ale stawi mu czoła okazując swoją dumę, nieugiętość i konsekwencję.

Tak więc, kiedy moja niechęć do uniwersytetu *in corpore* stała się bardziej subtelna i pozbawiona pierwotnego impetu, jałem zauważać na nim zjawiska pozytywne. Przede wszystkim zauważyłem, że filozofia akademicka to nie tylko myślenie, ale także – zaryzykuję tezę, że przede wszystkim – człowiek. To, że nie byłoby filozofii bez człowieka wcale nie jest twierdzeniem trywialnym i oczywistym, zważywszy na armię filozoficznych robotów skutecznie przetwarzających dane w obrębie swojej dziedziny wiedzy i kompletnie przy tym pozbawionych filozoficznej indywidualności. Członków tej armii rekrutuje się właśnie z szeregu studentów, których fascynacja myśleniem rychło i nieodwołalnie zostaje skażona perspektywą kariery i podszyta resentymentem. Odtąd zamieniają oni swoją osobowość na tytuł naukowy i skrupulatnie pilnują, żeby nie wychynęła przypadkiem w jakimś tekście lub nie

zanieczyściła postawionej właśnie tezy. Z niezrozumiałych bowiem powodów, zgoła sprzecznych z najlepszą tradycją filozoficzną, współczesny filozof poczytuje sobie za dyshonor przyznanie, że niebagatelny udział w postaniu tekstu miały jego afekty. Afekty... coś wstydlivego, niegodnego filozofa, który pragnąłby się jawić jako istota wręcz niematerialna, czysty umysł myślący czyste idee. Zapomina, że filozofia jest ze swojej istoty „nieczysta”, albowiem powstała jako odpowiedź na jakiś fundamentalny brak w człowieku. I tenże filozof, istota z krwi i kości, do bólu cielesna, pragnie skryć się za swoim tekstem, nie do końca zresztą, jako że pod każdym tekstem próżność lub konwencja nakazują mu zostawić ślad swojej pracy: sygnaturę.

Oto, co odróżnia filozofa od filozoficznego automatu: tylko ten pierwszy w powstaniu tekstu sprawiedliwość oddaje także swojemu ciału, swojej krwi. Bez tego mamy jedynie suche kartki, beznamiętny tekst powstały na zasadzie algorytmu, właściwie nie do czytania.

I czy nie mamy wrażenia, że najlepsze teksty, jakie kiedykolwiek czytaliśmy to te, które w jakiś sposób były niespójne?

„Spoiwem” jest ciało, jest autor. Dobry tekst filozoficzny (nie tylko filozoficzny) powinien domagać się z naszej strony natychmiastowej serii pytań: kto go napisał? Dlaczego? Czy ma jakiś ukryty sekret? Dobry tekst to taki, który bez uwzględnienia odpowiedzi na te pytania pozostaje niepełny.

Zaryzykuję stwierdzenie, że ogłoszona przez hermeneutykę „śmierć autora” nie tylko została rozpoznana na uniwersytecie, ale też miała tam jedno ze swoich źródeł. Czymże bowiem jest pragnienie autora tekstu filozoficznego, by całkowicie się z niego wycofać, by mówiła sama myśl? Tekst bez autora, to problem znacznie poważniejszy, niż autor bez tekstu. Sprawa być może jest natury kryminalnej: autor nie umarł śmiercią naturalną, ale popełnił samobójstwo, na własne życzenie rozstając się z życiem, *resp.* z tekstem. Odrębną sprawą byłoby wówczas zbadanie, dlaczego hermeneutyka przedstawiła opinii publicznej całkowicie fałszywy obraz sprawy i czy przypadkiem nie jest to związane z tym, że oficjalna wersja jest przez dzisiejszego filozofa łatwiejsza do zaakceptowania z tego prostego powodu, że zdejmuje z niego obowiązek posiadania osobowości.

W tym kontekście już nie rążą nas bezduszne słowa Nietzschego o hodowli ludzi, posłusznie i bez najślubszej bodaj refleksji wykonujących swoje zadania. Czyż dzisiejszy uniwersytet nie jest hodowlą filozofów nowej generacji: to znaczy takich, u których proces myślenia został całkowicie zautomatyzowany, a osobowość, z całym jej migotliwym bogactwem i nieprzewidywalnością reakcji zastąpiono intelektualną kompetencją? Gombrowicz domagał się od pisarza takiego pisania, by od razu było wiadomo czy jest blondynem czy brunetem. Domagać się dzisiaj od filozofa, żeby jego idee świadczyły o jego przygodach z życiem, to zdecydowanie za wiele, w pierwszym rzędzie dlatego, że dzisiejszego filozofa akademickiego trudno posądzać o to, że jest istotą żywą.

Lektura dzieł niemal wszystkich wielkich filozofów mówi nam nie tylko o ich myśleniu, ale również sporo o ich życiu: kiedy potem czytamy ich biografię, rzadko jesteśmy zaskoczeni. Kiwamy ze zrozumieniem głowami, albowiem uznajemy za zupełnie naturalne, że osoba z „takimi” poglądami posiada „taki” życiorys. I wcale nie idzie tu o zgodność trybu życia z rozwijaną przez filozofa myślą, bo przecież Schopenhauer na przykład, żył zgoła wbrew zaleceniom swojej filozofii, a mimo to jego życie stanowi ważki przyczynek do zrozumienia jego filozofii. Prawdopodobnie wszyscy znamy aforyzm Schopenhauera, że nie można wymagać od znaku drogowego, żeby wędrował do miasta, on ma tylko wskazywać tam drogę. A mimo to lektura nie tylko jego sławnych *Aforyzmów o mądrości życia*, lecz także *opus magnum* wiele nam mówi o osobowości autora, ponieważ jeżeli w ogóle posiada się osobowość, niepodobna całkowicie wyeliminować jej z tekstu. Przyjrzyjmy się pierwszemu zdaniu *Świata jako woli i przedstawienia*: „<Świat jest moim przedstawieniem > – jest to prawda, która obowiązuje w odniesieniu do każdej żywej i poznającej istoty”. Zawsze stawiam to zdanie za wzór odwagi, a być może i filozoficznej bezczelności, pozwalającej autorowi z godną naśladowictwa dezynwolturą wyeksplikować *expressis verbis* najgłówniejsze założenie swojej filozofii już w pierwszym zdaniu. Pozostałe zdania są właściwie... zbyteczne. Owszem, dopomagają w zrozumieniu tezy głównej wyłącznie dlatego, że autor „raczył” nam ją przybliżyć. W ogóle warto pamiętać, że kiedyś filozofowie nie wahali się posiadać tezy i je głosić – nawet, jeżeli potem z mozołem musieli je

tłumaczyć. Dzisiaj przewaga komentarza nad tezą jest tak dojmująca, że filozofowie coraz rzadziej wiedzą co chcą powiedzieć, wiedzą za to dokładnie, jak to skomentować – i tu się zaczyna i zarazem kończy ich własna filozofia.

W dodatku lektura współczesnego tekstu filozoficznego rzadko pozwala nam choćby na ustalenie płci osoby, która napisała tekst. A przecież nietrudno wskazać miejsce z którego przychodzi do filozofa ów przykry przesąd, nakazujący mu widzieć obiektywność i merytoryczną doniosłość tekstu filozoficznego w pierwszym rzędzie za cenę zlikwidowania autora. Zwróćmy bowiem uwagę, że aż do późnych czasów nowożytnych teksty filozoficzne posiadały na swoim niezbywalnym uposażeniu czytelną sygnaturę autora. Tekstów Platona, Arystotelesa, św. Augustyna, Kartezjusza, Jana Jakuba Rousseau, Kierkegarda, Nietzschego i wielu innych autorów ze wszystkich epok nie sposób pomylić z innymi, tak wyraźnie potrafili odcisnąć w tekstach swoją osobowość.

Jeszcze w XIX wieku autorzy nie czuli się w obowiązku pilnować, by w ich imieniu mówił sam tekst, owe skrupuły to „wynałazek” XX wieku, stosunkowo świeży, zatem można mieć nadzieję, że przejściowy. Ot, filozoficzna moda, przejściowy kaprys akademickich filozofów, którzy porzuciwszy pozytywistyczną mrzonkę o naukowości filozofii, jeszcze nie są w stanie porzucić złudzenia wciąż nakazującego bronić przekonania, że ich własne myślenie musi być równie obiektywne i sprawdzalne, co ustalenia uczonego empiryka.

Świadomość, że czytam autora z krwi i kości o konkretnym nazwisku, nie zaś anonimowe rozważania, sprawiające wrażenie jakby same „się rozważały”, nie tylko nie przeszkadza, ale wręcz wzmacnia odbiór myśli, umożliwiając lepsze jej zrozumienie. W tym kontekście zdumiewa stylistyczna – a i merytoryczna także – standaryzacja tekstów współczesnych, a także łatwość z jaką do niej dochodzi – czyżby współcześni autorzy w ogóle byli pozbawieni osobowości? Chciałbym wierzyć, że nie posiadając osobowości, można jeszcze przynajmniej twórczo myśleć, ale jakość tych tekstów wyraźnie temu przeczy.

Jedną z najważniejszych rzeczy, jakich nauczyłem się jako czytelnik, jest umiejętność odrzucenia lektury, którą uznaję za nudną. Jest to zarazem powód, dla

którego prawie wcale nie czytam współczesnej filozofii akademickiej. Chodzi nie tylko o to, że spora część autorów nie potrafi sobie wypracować indywidualnego stylu i siłą rzeczy zmuszona jest podpiąć się pod jakiś obowiązujący żargon. Znacznie istotniejszym problemem jest wtórność tych wszystkich dzieł, które pisze się nie dlatego, że się ma coś do powiedzenia, lecz żeby wspiąć się na kolejny szczebel w karierze zawodowej. I z punktu widzenia kariery takie zachowanie jest jak najbardziej uzasadnione. Skoro bowiem uniwersytety nie premiąją samodzielnego myślenia, a jedynie sprawne przetwarzanie danych, to który trzeźwo myślący, pragmatyczny akademik pokusi się o sformułowanie własnych idei, skoro wie z góry, że te same profity przyniesie mu działalność znacznie łatwiejsza? Dlatego, zamiast czytać kolejne opracowanie, wolę sięgnąć do źródeł, a wnioski wyciągnąć sam. Lichtenberg powiedział kiedyś: „Boże, nie pozwól, żebym napisał kiedyś książkę o książkach”. Szczęśliwie, nie dożył czasów, kiedy wtórny przerób idei jął być na uniwersytetach masowo praktykowany, stając się najważniejszym, jeżeli nie jedynym sposobem na karierę naukową. Czyta się sto książek, żeby napisać sto pierwszą.

Przyznam, że nieco brakuje mi owego spontanicznego, naiwnego zaangażowania w myślenie, jakie jeszcze nie tak dawno charakteryzowało filozofię. Mówię o czasach, kiedy myślało się po to, żeby się porachować z Bogiem, ze światem, z drugim człowiekiem, a nie po to, by legitymizować swój status filozofa. Brakuje mi czasów, kiedy filozofom się „chciało”, a nie „musieli”; brakuje mi owych filozofów. Kiedyś Leszek Kołakowski powiedział, że nie czyta współczesnej filozofii, ponieważ nie sądzi, by znalazł w niej coś ciekawego. Nawet jeżeli powiedział to z przymrużeniem oka, to przecież warto uświadomić sobie, że nieznanostwo klasyków czyni nasze osobowości niepełnymi, oznacza w nas jakiś fundamentalny defekt, który wychodzi w obcowaniu z człowiekiem, który nie przepracował w sobie arcydzieł literatury klasycznej, bez względu na jej charakter. Tymczasem ośmielę się postawić tezę, że nieznanostwo współczesnych tekstów filozoficznych i literackich nie uczyni naszemu duchowi większej szkody i doprawdy, większą korzyść odniesiemy z lektury *Dzienników Gombrowicza* (na przykład), niż dziesiątek modnych książek, które właśnie wydano.

Powstaje pytanie, które można zadać po leninowsku: kto jest za ten stan rzeczy odpowiedzialny? Od razu powiem, że nie podejmuję się w tak krótkim tekście przeprowadzić gruntownej analizy problemu i po leninowsku palcem wskazać winnego. Można jednak zarysować pewne tropy. Niektóre zresztą są już dosyć mocno przetartymi ścieżkami. I tak na przykład, XIX-wieczną krytykę niemieckiego uniwersytetu autorstwa Nietzschego, można bez większych skreśleń przepisać i odnieść do dzisiejszego uniwersytetu polskiego. I nie znaczy to, że Nietzsche był aż tak dalekowzroczny, ale raczej że od tamtego czasu niewiele się zmieniło, a jeżeli już, to na gorsze.

Idąc dalej, jestem skłonny twierdzić, że elementy rozkładu, elementy reakcyjne, są wpisane w samo jądro filozofowania. Czym na początku była filozofia? Zdumieniem – brzmi popularna odpowiedź. Głębszy namysł nakazuje jednak odrzucić tezę o szczególnym potencjale poznawczym zdumienia, którego rola jest pod tym względem zdecydowanie przeceniana. Być może właśnie filozoficzna „kariera” tego pojęcia wynika z jego wieku: jako jedna z najstarszych oczywistości filozoficznych niezauważenie przenika nasze myślenie mocą swojego autorytetu. I tym sposobem filozofia, tak lubiąca rozbijać pojęcia, a nawet narzędzia służące do rozbijania pojęć okazała się być gorliwą wyznawczynią antycznego przesądu.

Zdumienie jest stanem w którym nasze intuicje zostają zakwestionowane, a my stajemy wobec rzeczy, o których „filozofom się nie śniło”. Jest to stan wcale przyjemny, a nasze naturalne odruchy to albo zachowawczy powrót do swoich intuicji, albo chęć trwania w owym zdumieniu, które pozwala nam rozkoszować się uczestnictwem w nieoczywistości. Zdumienie nie posiada w sobie imperatywu pozwalającego go przekroczyć. Innymi słowy, albo chcemy trwać w zdumieniu, zatem w zerowym stanie poznawczym, albo się z niego wycofać, w żadnym razie go przewyciężyć. Zdumieniu bliżej do afektu, niżli refleksji. I doprawdy, nikt za wyjątkiem nielicznych intelektualnych barbarzyńców nie będzie miał czelności unicestwić za pomocą analizy płynącej ze zdumienia rozkoszy. Kto, poza markizem De Sade, powie: „Och! Kurwa, spuszcza się! Sprawiacie, że umieram z rozkoszy! Usiądźmy i podyskutujmy. Nie chodzi tylko o to, by doznawać wrażeń, trzeba jeszcze poddać je analizie”. Nie tędy

wydarzyła się odyseja zachodnioeuropejskiej myśli filozoficznej. Nikt tu nie zabija rozkoszy, ażby splotić ideę, lecz na odwrót: płodzi się ideę w celu osiągnięcia rozkoszy.

Twierdzę, że tym, co nas zmusza do filozofowania jest szok. Świat, który nas zachwyca lub zdumiewa, nie jest światem refleksyjnym. Dopiero, kiedy przekonamy się – na własnej skórze – jak bardzo jest on opresyjny, dopiero wówczas, na mocy elementarnej instynktu przetrwania, zmuszeni jesteśmy podjąć kroki w celu racjonalizowania swojego bycia w świecie. Pierwsi filozofowie myśleli nie z zachwytu nad światem, ale ze strachu przed nim. Czy potrafimy sobie wyobrazić ów czas, kiedy nie istniała jeszcze ani nauka, ani filozofia, cywilizacja europejska ledwie raczkowała, a my dopiero poznawaliśmy brutalne prawa przyrody? Oczywiście nie dysponowano wówczas skutecznymi narzędziami pozwalającymi człowiekowi obronić się przed opresyjnością przyrody. A najsprawniejszym narzędziem, jakim dysponował człowiek, istota, którą może zabić mgła, kropla wody, był rozum. Dopiero odkrywano jego możliwości porządkowania świata na poziomie teoretycznym, a metodologia, która pozwala dzielić i różnicować zdobywaną wiedzę praktycznie nie istniała. Nic więc dziwnego, ani tym bardziej złego w tym, że wszelkie poznanie świata miało charakter filozoficzny. Nie było to niczym złym do tego stopnia, że przez całe epoki astronomia, medycyna, przyrodoznawstwo i inne nauki empiryczne miały charakter filozoficzny. Dopiero nowożytność nauczyła nas, że rzeczy o których „filozofom się nie śniło” kryją się wewnątrz samej filozofii, i co więcej, filozof, jako osoba niekompetentna, nie powinna mieć do nich dostępu. Filozof powoli tracił grunt pod nogami, jego obszar działania był coraz mniejszy. Teologia odebrała mu Boga, nauki empiryczne przyrodę, nauki humanistyczne – człowieka. Cóż tedy robi filozof? Wciąż „trzeźwo” myśli i kalkuluje. Odebrano mu wszystko. „Wróg” zajął całość terytorium na którym pierwotnie niepodzielnie panował on – filozof. Przyłącza się tedy do swojego wroga i czyni swoje myślenie naukowym. A potem z typowym dla filozofia resentymentem, tę kapitulację rozgłasza jako sukces: oto filozofia wzniosła się na swój wyższy poziom, stała się naukowa.

I katastrofa byłaby tylko kwestią czasu gdyby nie to, że... już się dokonała. Pierwszą katastrofą było wmówienie sobie przez filozofa, że nauka znajduje się w opozycji do filozofii. Zresztą, skorumpowany resentymentem uczony empiryk tylko go będzie utwierdzał w tym przekonaniu, na każdym kroku podkreślając wyższość myślenia weryfikowalnego nad spekulatywnym. Krótka jest, doprawdy, pamięć przyrodoznawstwa. Nie mając równie mocno, co filozofia rozwiniętej potrzeby samorefleksji, z lekceważącym dystansem podchodzi do tego, co dało jej początek. Drugą katastrofą, ściśle powiązaną z pierwszą było powzięcie przekonania, że tylko składając nauce hołd lenny, filozofia ocali nie tylko swoją integralność, ale wręcz rację bytu. I tylko wydaje nam się, że to „pozytywistyczne złudzenie” mamy już za sobą, w współczesne prądy filozoficzne, zawzięcie dekonstruując wszelkie punkty zaczepienia, z sukcesem pozbyły się i tego. Pozytywistyczne złudzenie wcale się nie skompromitowało i jeżeli dzisiaj z przymrużeniem oka przyglądamy się wysiłkom różnego rodzaju „kół”, jakie powstawały na początku ubiegłego stulecia, z kołem wiedeńskim czy szkołą lwowsko-warszawską na czele, to tylko dlatego, że zapominamy, iż ich dziedzictwo jest ciągle obecne w myśleniu filozoficznym. Poza tym, nawet jeżeli zwracamy się w ich stronę z uszanowaniem, to i tak kładzie się na nim ponury cień resentymentu. Z jakiegoś powodu traktujemy bowiem myślenie pozytywistyczne jako ekscentryczny moment filozofii, być może konieczny, ale szczęśliwie przewyciężony. Otóż – powtarzam – nie został on przewyciężony, pozytywistyczne złudzenie jest wciąż obecne w naszym myśleniu i najprawdopodobniej obecne być musi. Dzisiejsza filozofia wciąż ciągnie za sobą pozytywistyczny ogon, ale nie jest to ogon komety, która nie bacząc na „bezmiar owych straszliwych przestrzeni” szybuje w przestrzeni idei. Filozofia jest jak skorpion, który wymachuje trującym kolcem na końcu ogona. Skorpion ów, cofając się coraz bardziej w ślepy zaułek, w którym „wszystko już powiedziano” i zdekonstruowano; w którym nie ma już miejsca na sądy jasne i wyraźne, bliski jest temu, żeby palnąć sobie tym kolcem w łeb. To właśnie bowiem robi skorpion w sytuacji bez wyjścia: popełnia samobójstwo.

Nawiasem mówiąc, czy to nie paradoks, że biblię pozytywizmu, *Tractatus...* napisał jeden z najbardziej natchnionych filozofów XX wieku? Biografia i osobowość

Ludwika Wittgensteina są całkowitym zaprzeczeniem „szkiełka i oka” do których usiłowano sprowadzić filozofię.

Wartym odrębnego rozważenia jest pytanie, czy wiek XX nie był wiekiem samobójstwa filozofii, lub czy nie będzie nim wiek XXI. I nie chodzi o to, że przestaliśmy filozofować, lecz że przestaliśmy być filozofami. Dzisiaj nie filozofuje się jak w starożytności, na agorze. Nawet Kartezjusz nie jest dla nas wzorem. Jego legendarny kominek i ciepłe kapcie to dla nas żadna atrakcja. Któż bowiem zechce tracić czas, by odłożyć książki, podumać do południa przy ogniu i kto wie – może wychylić przy tym kieliszek wina? Obecna zakademizowana filozofia to praca od godziny do godziny, jak w fabryce. Myśli się na komendę. Pisz na zamówienie. Filozofuje w celach zarobkowych i ambicjonalnych. Narodziło się coś na kształt inżynierii filozoficznej, pozwalającej prognozować odkrywanie nowych idei w oparciu o wytyczne administracyjne. Dzisiaj młody filozof, zatrudniając się na uczelni, jest w stanie z dużą dokładnością przewidzieć, ile książek przyjdzie mu napisać w ciągu życia.

Przyznam, że nie wierzę, by filozof, który nie potrafi zaznaczyć swojej odrębności w świecie, był w stanie zaznaczyć swoją odrębność w myśleniu. Idee nie powstają w próżni, nie istnieje również jakiś „eter” w którym sobie bytują, a zadaniem filozofa jest znaleźć metodę sprowadzenia ich na ziemię. Jeżeli nasze myślenie ma być twórcze, musi odwoływać się do naszej biografii. Niekoniecznie burzliwej, ale zawsze nasyconej doświadczeniem. Kontrprzykład Kanta, który spędził całe życie wpatrzony w to samo drzewo i w tę samą wieżę kościelną, co mu wystarczało jako natchnienie, nie jest żadnym kontrprzykładem. Zainteresowanych odsyłam do lektury *Życia seksualnego Kanta*, bo chociaż coś takiego, jak życie seksualne Kanta prawdopodobnie nie istniało, to jednak walnie przyczyniło się do powstania choćby koncepcji „rzeczy samej w sobie”.

Należy pamiętać o kolejności, która ma charakter fundamentalny. Najpierw pracujemy nad swoim charakterem, potem nad swoją filozofią. Dopóki nie odznaczymy swojej sygnatury w świecie – i korelatywnie, dopóki świat nie odznaczy swojej sygnatury w nas samych – niewielkie mamy szanse na odznaczenie swojej sygnatury w świecie idei. Bo cóż z tego, że Filozofia dysponuje dzisiaj armią filozoficznych robotów,

anonimowych i pozbawionych indywidualności, skoro ich łączny dorobek nie jest warty jednej porządnej książki filozoficznej wydanej w poprzednich wiekach, kiedy to filozof nie tylko myślał, ale także i przede wszystkim – żył? Wszyscy powinniśmy gruntownie przemyśleć owo wyznanie Schopenhauera dotyczące jego myślenia: „To, co w moim rozwoju najlepsze, zawdzięczam obok wpływu naocznego świata zarówno dziełu Kanta, jak świętym pismom hinduskim i Platonowi”. Niepodobna już uświadczyć filozofa, który wyliczając swoje inspiracje wskazałby – i to na pierwszym miejscu – świat. Dzisiaj biblioteka zastępuje doświadczenie i kontemplację. Długą drogę przeszliśmy od świeżości gaju Akademosu do dusznych sal uniwersytetu.

Jakiś czas temu rozmawiałem z pewnym filozofem na temat Kierkegaarda. Filozof ów, autor książki o Kierkegaardzie, odnosząc się do jakichś jego słów, z niejaką dumą stwierdził, że myśl tę rozwija na trzech stronach swojej książki. Oto duma współczesnego filozofa akademickiego. Chcąc tworzyć własną, oryginalną filozofię, kończy jako przypis do filozofii cudzej. A co się tyczy cytowania, to należy pamiętać o żelaznej zasadzie, sformułowanej przez Montaigne'a, też lubiącego cytować: „Jeżeli cytuję, to jeno po to, by tym dobitniej wyrazić własną myśl”. Zresztą, dzieło Montaigne'a, to instruktywny przykład wzorowego rozkładu sił w tekście: to, co własne zawsze na pierwszym planie; cytat wyłącznie gra rolę kosmetyczną. Cioran przestrzega, żeby nie ufać głowie, którą tylko cytat wprawia w ruch. A gdy Schopenhauer pisze (na przykład), że „troska i namiętność, a więc gra myśli niszczą ciało częściej i bardziej niż dolegliwości fizyczne”, i zaraz dokłada stosowne sentencje z Epikteta i Seneki, których już oszczędzę, to od razu widzimy, że niemiecki myśliciel swoje tezy formułuje samodzielnie, a starożytni są mu potrzebni wyłącznie dla wzmocnienia efektu. Kończąc już ten krótki festiwal cytatów, dołożę jeszcze jeden, z Prousta, by tym dobitniej wyrazić moją własną myśl: „gdyby sam Schopenhauer nie zaprowadził mnie już zbyt daleko, z przyjemnością dokończyłbym ten wywód posiłkując się *Aforyzmami o mądrości życia*, które ze wszystkich znanych mi dzieł w największym stopniu, poza ogromnym odczytaniem autora, wykorzystują jego odkrywcość, dzięki czemu Schopenhauer mógłby tę książkę, w której każda strona zawiera wiele przytoczeń opatrzyć całkiem poważnie mottem «Kompilacja to nie moja rzecz»”. Do przemyślenia

jako praca domowa dla autorów, którzy pisząc dwustustronicową książkę, potrzebują czterystu pozycji bibliografii i sześciuset przypisów.

Dlaczego tak się złączam nad filozofią akademicką? Ponieważ wierzę, że najciekawsze rzeczy powstają teraz albo na marginesie filozofii, albo przez eksplorację tych marginesów. Rzecz istotna – istota rzeczy – to filozof, który wypracował sobie specyficzny typ osobowości, silnej i niepodatnej na deformacje wynikające z przebywania w tak niekorzystnym dla samodzielnego myślenia środowisku, jakim jest współczesny uniwersytet. Co ciekawe, wymaga to posiadania przez filozofa pewnego typu osobowości, odpornej na degradację ze strony współczesnej akademii, a przy tym na tyle silnej, aby piracko dopłynąć na własnej szalupie do tekstu, zrabować go i bez skrępowań przetworzyć na użytek własny, a przy okazji na użytek innych. Dlatego wiwat Banasiak, Wodziński i podobni im, którzy pokazują, że nie ma żadnego specjalnego powodu, aby myślenie obowiązkowo dokonywało się przy biurku – rzeki i góry są równie dobre, a nawet lepsze.

Margines filozofii rozumiem nie tylko jako poszukiwanie czegoś, co w filozofii zużyte, lekceważone lub zapomniane, ale także jako sposób myślenia poszukującego z jednej strony nowych form wypowiedzi, z drugiej zaś zdolnego do niekonwencjonalnego podejścia do pojęć kanonicznych i rozsądzenia ich. Przykładem Markowski, który anulował dotychczasowe schematy w jakich rozważaliśmy Gombrowicza i zaproponował własne. Niby nic szczególnego, ale z jakiegoś powodu większość filozofów lubi stadne myślenie, lubi trzymać się „centrum”. Nic dziwnego, że trudno ich potem od siebie odróżnić.

Teoria paradygmatów mówi nam, że to, co dzisiaj jest marginesem, jutro może stać się kanonem, ale i na odwrót. Dlatego nie należy bać się drapieżnego rzucania na marginesy: być może czeka nas tam nagroda. Nie? Chyba nie jesteśmy na tyle naiwni, by filozofować dla nagrody? Filozofujmy tedy chcąc porachować się ze sobą, z Bogiem, światem, policją, ale nie w celu zdobycia nagrody. Owe „ruchy niegodne filozofa” zostawmy filozofom akademickim.